

W Izraelu; Muzyka w Izraelu

Zygmunt Mycielski

Gdy byłem mały, to myślałem, że korespondencję pisze się tak: najpierw trzeba wszystko zobaczyć, z wszystkimi pomówić, wszystkiego się dowiedzieć, wszystko przeczytać – a potem, to się już wszystko wie i rozumie, więc wystarczy się i prędko napisać artykuł o Izraelu, Francji czy Paragwaju.

Potem myślałem, że jeżeli ja nie wiem, to starsi wiedzą na pewno i tylko nie chcą tego dzieciom powiedzieć. W końcu pozostała mi wiara w fachowców i specjalistów. Jednakże z wiekiem i ta wiara odleciała ode mnie. Zobaczyłem w życiu zbyt wielu fachowców i specjalistów, którzy się tak sromotnie mylili, takie byki strzelali... Specjalizacja odbiera ogólne widzenie, a ogólne widzenie rodzi mętna ogólnikowość, więc komu tu wierzyć? Może informacjom? Ale jakim, którym?

Pojechałem do Izraela na zaproszenie tamtejszego Związku Kompozytorów. Byłem przyjęty jak król, ale czy to znaczy, że po dwutygodniowym tam pobycie mam się znać na sprawie żydowskiej, zastarzałej od czasów Abrahama, starszej od sprawy polskiej o jakieś 2500 lat? Przez dwa tygodnie trudno poznać stary naród, tworzący nowe państwo. Przyjaciół i nieprzyjaciół tego domu jest tylu niemal, co ludzi na świecie, bo przecie każdy normalny (?) człowiek jest jakoś ustosunkowany do „sprawy żydowskiej” (a to my myślimy, że każdy normalny człowiek jest jakoś ustosunkowany do sprawy polskiej).

Jakże więc wędrować po tej starej ziemi izraelskiej, po tej Ziemi Świętej i świętej ziemi, rywalizującej świętością z boskim Akropolem Ateńskim i niemniej boskim Palatynem Rzymskim? Ale nie, tu nie ma żadnej rywalizacji. To nie paskudni Rzymianie, stawiający świątynie Jowiszom Kapitolińskim, to nie umarłe Artemidy, to żywa Ziemia Święta dla Żydów, chrześcijan, dla mahometan. Umarła *Aeila Capitolina* – nazwana tak przez Hadriana Jerozolima. Jerushalaim żyje, siedemnaście razy zburzona, gdy nie ma już antycznych Greków, Fenicjan, Persów, Egipcjan, gdy śladu nie ma po Hyksosach, Edomitach, Amalekitach i Filistynach. Przeszli tędy Krzyżowcy, Bizancjum, Turcy, Arabowie i Anglicy – a stary, rozproszony przez wieki naród powraca, najpierw umierać, a teraz żyć w Jerozolimie.

Nafaszerowany tymi wiadomościami, które każdy może wyczytać w Biblii, u Józefa Flawiusza i w popularnej *Histoire du peuple Juif* Cecila Rotha, wysiadłem ze statku w Haifie i począłem rozglądać się za Dr. Shlomo Hofmanem. W nowym kraju, na dosyć odległym wybrzeżu Morza Śródziemnego, dobrze jest znaleźć kogoś, kto na ciebie czeka, czytelniku miły. Tymczasem nic: duże miasto, duży kuferek, jeżeli znajdę Dr. Hofmana to zgubię kuferek, a jeżeli będę stał przy kufierku, to nie znajdę Dr. Shlomo Hofmana. Ale oto jest, wszystko jak w pudełku, gospodarze, gość, rzeczy, trzy stopnie ciepła w listopadzie – tylko spokój mnie uratował, do niczego przydatne są nerwy w dobrze zorganizowanym kraju.

Czy Izrael jest taki, jak sobie wyobrażałem? Nie powiem. Trzeba tu wyrzucić za burtę wszystkie złe czy dobre wyobrażenia jakie się ma o tym narodzie. – Oni tu zrobili coś, co zmienia ich problemy i sytuację, co przekreśla takie sprawy jak asymilacja, czy nie asymilacja, zachowanie tradycji czy dyskusja nad kwestiami: naród, rasa, religia. Wszystko staje się tu nagle proste i jasne. Są u siebie. Jakież naród dyskutuje u siebie o takich problemach? Tutaj mają oni inne problemy. Normalne, takie jak wszyscy. Mają sprawy gospodarcze i administracyjne, mają mnóstwo swoich partii politycznych i swojego premiera, swoje wojsko i już nową swoją tradycję wojenną, swoje mniejszości narodowe i swoje budownictwo, rolnictwo, przemysł, handel, granice... Mają też i swoje specjalności: imigrację, przerastającą w ciągu paru lat ilość mieszkańców własnego kraju, problem nawadniania, zalesienia, tworzenia narodu z imigrującej diaspory, obejmującej dziesiątki rozmaitych a zawsze własnych obywateli. Już rośnie młodzież tam urodzona, a jeszcze ciągle przyjeżdżają nowi: z Jemenu, Afryki, Azji Mniejszej, z Europy i wszystkich krajów jakie można sobie wyobrazić. Imigracja polska i niemiecka żyje obok orientalnej, z daleka przybyłej. Język hebrajski, wspólna służba wojskowa, szkoły i wspólny los łączy ich razem, łączy ich, łączy ich razem tradycja biblijna i zarówno nowa Jerozolima jak i stary galilejski Safed, miejsce w którym po wypędzeniu Żydów z Hiszpanii zakwitła szkoła mistycznych kabalistów i żył w XVI wieku wielki Rabbi Issak Lourié.

Czy ja tu przyjechałem wyglądać świętego Jerushalaim i Safedu, Wzgórza Ośmiu Błogosławieństw i Cezarei, ruin rzymskich i zamków, które stawiali Krzyżowcy? Podobnie jak w nowych Chinach nie było mi najłatwiej pograżyć się w starych Chinach, tak i tu od pierwszej chwili zrozumiałem, że wszyscy chcą mi pokazywać nowe miasta, szkoły, żłobki, kibuce i uniwersytety, sale koncertowe, szkoły muzyczne, zalesione wzgórza i nawodnione pola bananowe, fabryki i słynny Instytut Weizmanna w Rehovot pod Tel-Avivem. Ten kraj jest europejską enklawą w Azji Mniejszej, i szczyci się tym wszystkim czego tu nie było kilka lat temu. To dopiero 14 maja 1948 roku odczytał David Ben-Gurion proklamację, głoszącą, że następnego dnia o północy suwerenne państwo, pod nazwą Izrael, powstanie na nowo, powstanie na obszarze wyznaczonym przez Narody Zjednoczone. Chaim Weizmann został pierwszym prezydentem izraelskim. Pamiętam jak wtedy każdy z moich przyjaciół Żydów zdrzął ze wzruszenia. Spełniły się prorocтва.

Nie lubię turystów, nie cierpię widoku spieszących się ludzi, którzy nie wiedzą czy to na co wypada patrzeć, już podziwiano, czy to jest w lewym czy w prawym oknie autobusu. Lubię natomiast jechać w określonym celu, po coś, do czegoś czy do kogoś, coś możliwie konkretnego załatwić, mieć wrażenie, że jestem w drobnej części do czegoś potrzebny i użyteczny. Są to – rzecz jasna – wygórowane aspiracje, ale wolę mieć chociażby takie wrażenie, niż być sfłoczony w wycieczce pędzonej o oznaczonym czasie z miejsca na miejsce.

W wypadku jazdy do Izraela musiałem mocno nadrabiać fantazją, żeby tym wymaganiom sprostać. Wiedziałem jednak – i tak to sobie wyobrażałem, że jadę do przyjaciół, do kraju, w którym przeszło jedna trzecia ludności mówi i rozumie po polsku, do kraju, którego naród żył przez przeszło 500 lat na jednej z nami ziemi, który dał nam ogromną ilość uczonych, historyków, poetów, pisarzy, muzyków, lekarzy i profesorów. Do kraju, w którym nasza książka i kultura jest znana jak nigdzie indziej na świecie. Takie „założenia” dawały mi świadomość, że moja jazda może nie być całkiem bezużyteczna, i że choć trochę wymaże z moich oczu to na co patrzyłem w obozach niemieckich i czego możliwość z największym trudem sobie uświadomiłem od 1933 roku, gdy przeczytałem książkę Hitlera *Mein Kampf*.

Czy jednak związki kulturalne, językowe i tradycja łączące nas obustronnie z narodem żydowskim wydadzą jakieś owoce, gdy chodzi o przeniesienie ich na nowe państwo izraelskie? Nie jest to sprawa łatwa. Nie trzeba tam szukać polskich pamiątek, i nie na wzruszeniach, których polscy Żydzi szukają w Izraelu, kontakty te mogą być

budowane. To już nie czasy *Rozmowy z rodakiem* Słonimskiego, pisanej w 1923 roku, gdzie stary Żyd mówi w Jerozolimie o swoim synu:

On bardzo wykształcony, też nazwisko Lewi.

Jak ja mówię o Polsce, on nic z tego nie wie.

Ja mu mówię, tłumaczę sam, jak tylko umiem:

„Przecież tam jest Warszawa!” To on nie rozumie.

Dziś wizja ta ma coraz mniejsze zastosowanie i nie może służyć za podstawę polsko-izraelskich sentymentów. Wprawdzie Żydzi z Polski gromadzą się razem, widują w tych samych lokalach i kawiarniach, czytają pisma wydawane tam po polsku, wspominają nasz kraj i często tęsknią do niego, ale własna państwowość sprawiła, że każdy tam wie, że nie jest emigrantem z Polski, ale obywatelem własnego, nowego państwa. To już nie – „jak na wsi w Polsce muchy brzęczą w Jeruzalem”. I niepodobna jest Galilea do Podkarpacia, ani Jaffa do Ciechocinka, choć stary Żyd w Tel-Awivie po polsku sprzedaje papierosy na Rehov Meir Dizengoff, czy Rehov Eliezer Ben Yehuda. Nie jest to już jednak żadną dominantą tego kraju, który rzucił się na budowanie i tworzenie czegoś nowego, korzystając z doświadczeń, które jego obywatele przywożą z całego świata.

Gdy wyszedłem na pierwszy spacer, wzdłuż wybrzeża morskiego, zwróconego na północny zachód i kierowałem się ku Jaffie, żeby zobaczyć mniej tego co jest europejskie, a więcej tego, co uważałem za starą i odwieczną Palestynę, to już rozumiałem, że odwracam się plecami od Izraela i że ta droga nie zaprowadzi mnie do poznania o zrozumienia tego kraju, narodu i państwa. Ślady zacierają się tu teraz szybko, wszystkie podróże na wschód i podróże do Ziemi Świętej Słowackiego i Chateaubrianda można przeczytać, ale lepiej je zamknąć, gdy się tam jedzie. Ta ziemia przejściowa, ciągle koczownicza i przez wieki osiadła, wojenna, pustynna i wydająca proroków, jest dziś miejscem, w którym buduje się proste, wesołe i skromne domy, hotele jak w Szwajcarii, uniwersytety rozsiane wśród pomarańczowych gajów, instytuty, którymi mogłyby się chlubić największe i najbogatsze państwa. Izrael pozostał wierny odwiecznej swojej tradycji, że wszędzie tam, gdzie na to tylko pozwolę okoliczności, czyli większa swoboda, staje od razu na szczytach nauki. Ćwiczony od tysięcy lat umysł tego narodu przeskakuje bez trudu wszelkie wyrwane w jego historii szczeble i w rekordowym tempie dogania i przoduje w tym, co w nauce jest najbardziej współczesne.

Teraz, na długim pasie przybrzeżnym, wzdłuż którego szerokość tego państwa wynosi miejscami 12 do 30 kilometrów, buduje się coś, co zdumiewa przybywającego skądkolwiek, i szukającego egzotyki turystę.

Gdy wracałem z mego pierwszego po Tel-Awivie spaceru, to już wiedziałem, że ma być tu tak jak wszędzie, jak wszędzie tam, gdzie się administruje i gospodaruje spokojnie, rozsądnie i nie na pokaz, ale naprawdę. Te pola, sklepy, domy, ulice i drogi są wprawdzie spełnieniem odwiecznego snu i nieprawdopodobnej wprost wiary i uporu, żeby istnieć. Ale w chwili gdy się stają, stają się jak każda realizacja, jak każde osiągnięcie: czymś zwykłym i naturalnym. Nie ma tu nic bajecznego – chyba to słońce, morze, i te stare, kamienne wzgórza, wyglądające dalej niż są w rzeczywistości i mające jakieś inne niż u nas perspektywy.

Wystarczy wtedy wyjść poza ostatni nawodniony kawałek ziemi, poza ostatnie palmy, kwiaty i bananowe plantacje, żeby mieć wrażenie, że cofnął się czas o trzy, o cztery tysiące lat. Wracam na gwarne, przepelnione samochodami ulice, już za ciasne w tym mieście planowanym pięćdziesiąt lat temu na szczerzej pustyni, bo jeżeli tam zostaną, to za ostatnim domem, za ostatnim przystankiem autobusowym, złapie mnie jeszcze ta szybko zapadająca

tutejsza noc. Napadnie mnie, w chwili gdy się słońce w morzu utopi... A wtedy gotowi wyjść wszyscy: Abraham, Izaak, Jakub, a może nawet Salomon i Dawid?

Jadąc z Haify do Tel-Awivu widzi się spory kawał wybrzeża, które ciągnie się wzdłuż Morza Śródziemnego od granicy Libanu po enklawę egipską Gazy. Głęboko wcięta zatoka Haify otoczona jest wzgórzami Karmelu i przypomina Zatokę Neapolitańską. Jest to najgłębszy i największy port izraelski. Wszystkie inne zatoki – w Akrze, Atlit, Tantura Cezarei i Jaffie – są niewielkie i płytkie, służyły ongiś okrętom Fenicjan, Filistynów i Rzymian, ale do dzisiaj nie pozwalają przybić do portu statkom wymagającym głębszego zanurzenia. Port w Haifie jest więc jedynym dziś oknem Izraela na świat. Poza tym istnieje okienko nad Morzem Czerwonym, w postaci portu w Eilath, widoki na pogłębienie i budowę portu w Jaffie – Tel-Awivie oraz lotniska, na które trzeba lecieć przez morze, żeby nie zawadzić o sąsiadujące państwa arabskie.

Z Haify do Tel-Awivu jedzie się wśród najwęższego pasa terytorialnego Izraela, który ma tu w wielu miejscach zaledwie 12 do 20 km szerokości. Dalej, to już terytoria przyznane Jordanii.

Wzdłuż Morza Śródziemnego ciągnie się pas plaży i wydm, za nim pas plantacji bananowych, pomarańczowych i cytrynowych. Dalej od morza teren staje się falisty, porośły oliwkami, poza którymi są już mniej lub bardziej nawodnione, kamieniste wzgórza. Tam, gdzie dochodzi woda, widać nowe plantacje, reszta wygląda na starą ziemię, wydzieraną po kawałku pustynnym siłom natury przez ten pracowity i przedsiębiorczy naród.

Walka z przyrodą widoczna jest na każdym kroku. Nie tylko bowiem trzeba wydzierać wzgórze po wzgórze, nawadniając je i wciskając się w głąb kraju, ale i nad morzem chronić trzeba tereny przed piaszczystymi, nadmorskimi wydmami. Zaledwie jednak zjedziemy z tego wąskiego pasa nadmorskiego, na północ, do żywej Galilei nad Jezioro Tyberiadzkie, w głąb kraju, do Judei z nadgraniczną Jerozolimą, czy w najniższą na świecie depresję, nad taflę Morza Martwego przez terytorium izraelskie, mógłby duży obszar nawodnić, leżące 394 m pod poziomem Morza Śródziemnego i wreszcie na szeroki i pustynny Negev, ciągnący się aż do Morza Czerwonego – dziki, skalisty, poprzecinany groźnymi kanionami – to skonstatujemy, że ten niewielki kraj posiada zdumiewającą gamę krajobrazów, klimatów i możliwości, zarówno plantacyjnych jak mineralnych. Wybrzeże śródziemnomorskie jest tu cudowną riwierą, przy której wszystkie europejskie wybrzeża są zimne. Gwałtowne deszcze padają tam w ciągu krótkiej zimy – przy każdym przejaśnieniu jednak wraca tu piękna jesień czy pełna wiosna, bez względu na grudniowe daty. Jerozolima, ze swymi 800 metrami wzniesienia posiada noce chłodne nawet w upalne lata, a zaraz obok wzrok nasz gubi się w depresji Morza Martwego, do którego „skok” wynosi 1200 metrów. W uszach odczuwamy ciśnienie, jak przy lądowaniu samolotu, latem, w depresjach tych panuje temperatura egipsko-sudańska. Klimat, przyroda i światło nawet tam są inne. Zapuszczam wzrok, zaraz za świętym miastem. Ze wzgórz widać bliskie Betlejem, poza granicami Jordanii, daleko i nisko widać jakieś błękitne dno. To leżące tam Morze Martwe, jakby za grubą szybą. Trzeba by jechać stąd aż do Sodomy, żeby spróbować tej wody, w której utonąć nie można.

W Negewie i nad Morzem Czarnym pustynia – jest tu zaledwie kilka dni deszczowych w roku. Woda jest największym problemem tego kraju. Gdy się po nim jeździ, wszystkie rozmowy kończą się na problemie wodnym. Mały Jordan, którego tylko część końca płynie przez terytorium izraelskie, mógłby duży obszar nawodnić, ale co się wtedy stanie z Morzem Martwym? Chyba wyschnie do dna, pozbawione jedyne dopływu. W Instytucie Weizmanna bada się, w porozumieniu z analogicznymi badaniami we Francji, problem desalinizacji wody morskiej. Jeżeli badania te dadzą konkretny i opłacalny rezultat, będzie można zmienić oblicze ziemi na kolosalnych przestrzeniach nie tylko Negewu, ale i Sahary, Meksyku, Arabii i Azji, wzdłuż pustynnego pasa, ciągnącego się aż po pustynię Gobi. Na razie

bada się systemy króla Salomona i systemy rzymskie, wszystko, co świat antyczny pod tym względem zrobił, a co nie zostało po dziś dzień w podobnym stopniu osiągnięte. Rezerwuary na zbieranie wody deszczowej dobre są tam, gdzie pada deszcz, ale w Eilath nie ma deszczu — pada on przez 3, 4 czy 5 dni w roku. A przecież żyli tutaj ludzie, świadczą o tym zarówno salomonowe kopalnie, jak i ruiny rozrzucone po całej pustyni. Moi rozmówcy twierdzą, że nie polega to na zmianie klimatu, ale na systemie irygacyjnym, który, gdy funkcjonuje, to daje dwa do trzech zbiorów rocznie. Widzę ten system na dużych obszarach w kraju „od Dan po Berszebę”, woda tryska tam dzień i noc z wąskich rurek, których wahadłowy ruch jest już stałym elementem w krajobrazie tej ziemi. Cywilizacje starożytne polegały na tym, że potrafiły utrzymać przez wieki nawodnienie tych przestrzeni, od Chin poprzez Persję i Azję Mniejszą — i aż po rzymskie akwedukty na Saharze. Raz zniszczone, ziemie te czekają na rękę, która znowu doprowadzi wodę. Cud staje się wtedy szybki. Lasy, uprawy, pola — palmy, kwiaty i owoce, wszystko rośnie w oczach, wydaje plony w tempie, o którym nie śni się ludom północnym. Papirusy, rzeźby, grotty i malowidła świadczą o dziwnych kolejach tych cywilizacji i wody, którą z sobą nosły. Dzisiaj pokazują mi co chwilę zieleniejące wzgórza w Galilei, Judei, zasadzone lasy tam, gdzie niedawno nie było nic przez szereg wieków. Usiłuję patrzeć na to z góry – jak na mapę. Na mapę czasu i na mapę geograficzną. Jak zaświecają się w różnych kątach naszego globu guziczki cywilizacji, produkcji, nauki i sztuki. Jaki tu się zaświecił teraz guziczek? Co to jest, gdy patrzę na ten kraj z wyższej perspektywy niż najwyższy samolot?

Gdy wracam w nocy samolotem znad Morza Czerwonego, widzę zrazu ciemność pustyni, a potem światła się mnożą. Lecimy długo nad mnóstwem światła, dróg, samochodów, osiedli i wreszcie olbrzymiego, wspartego światłami, kilometrami wzdłuż brzegu, Tel Avivu. Jestem w kraju, gdzie skromne hotele mają schludność szwajcarskich, sklepy przypominają Rzym, Londyn czy Paryż, drogi są niezbyt szerokie, ale gładkie jak stół. Europa, cywilizacja, towar wszędzie podobny, ale tu każdy przywiózł najlepsze rzemiosło – czy to będzie szlifierz drogich kamieni z Holandii, czy inżynier, stosujący przywiezione z Indii nagrzewanie wody na dachach domów muzyk z orkiestry Fitelberga w Warszawie, czy producent wyrobów skórzanym z Włoch.

Widziałem szkoły rolnicze i instytuty sportowe, kibuce wciśnięte w wąski pasek ziemi, pomiędzy jeziorem Tyberiadzkim a granicą Jordanii, gdzie wszystko jest wspólne, wydzielane członkom tego przedziwnego kolektywu. Ale obok kibuców są miasta wznoszone na nagich i pustych terenach, jest Haifa, Jerozolima i Tel Aviv z Jaffą. Ta ziemia już wydaje ludzi, Którzy podobni są do wszystkich ludzi — jak długo można być bohaterskimi aniołami walczącymi z przeciwnościami i żywionymi manną, padającą z kart biblijnych?

Chciałbym uchwycić ideały i motor, który pcha tych ludzi do tworzenia tego co widzę, który tłumaczyłby mi w jakiś sposób to, na co patrzę, przemijające, tworzące się i rozbijane państwa. Wojny, powstania, upory, zwycięstwa, walki i zniechęcenia. Może tu zrozumieć trwałość i długowieczność ich bytu?

Już myślę że trzymam te prawdy, jak szkiełko fenickie w ręku, gdy stoję u grobu Dawida i widzę tam pierwszych, kiwających się Żydów, pejsatych, rozmodlonych i rozgadanych, a były premier Francji Mendes France tak mi za tarasował ze swoją świątą drogę, że nie mogę się dopchać do tego miejsca, gdzie trzeba mieć myckę na głowie. Zdejmuję myckę wychodząc, wkładam ją przez pomyłkę wchodząc do zbudowanego przez Niemców pięćdziesiąt lat temu kościoła pod wezwaniem Zaśnięcia Matki Bożej. Jest to kopia romańskiego kościoła w Akwizgranie. Ale przechodzę tyle razy z jednych miejsc świętych do drugich że mi się zupełnie pomyliło gdzie trzeba mieć myckę na głowie, gdzie nie. Gdybym przeszedł przez druty kolczaste na drugą stronę, do starej Jerozolimy, to musiałbym pewnie zdjąć buty. Mówią mi jednak wszyscy, że lepiej nie przechodzić. Wracam w butach, zakurzonych świętym

pyłem, który pokrywa tyle miejsc wokoło Mare Nostrum. Ten, który leżał święty, zanim przybyli Rzymianie. A morze oblewało te wszystkie cywilizacje, póki byk nie zaniósł Europy na północ.

Mrzonki. Pokazują mi wyższe uczelnie, i wtedy odsłania mi się dalsza prawda: to tu, w hebrajskim uniwersytecie dwa razy stawianym w Jerozolimie, w Technionie, wzniesionym na górach Karmelu nad Haifą, i w słynnym Instytucie Weizmanna w Behovot, pod Tel Avivem, wznoszą się pomniki — duma i miłość tego kraju. Te trzy uczelnie skupiają i produkują to, co jest chyba najwyższym stopniem wtajemniczenia tego narodu: naukę.

Wiele jest instytucji, budowli, plantacji i fabryk, z których moi gospodarze izraelscy są dumni, ale nigdy nie odczuwałem tyle uchwytu i wzruszenia z ich strony, jak w momencie kiedy pokazywali mi szkoły i zakłady naukowe — od najniższych po najwyższe uczelnie.

Gdy się ląduje w Azji Mniejszej i spojrzy na te kraje, wyspy, ludy i ziemie, to rozumie się szybko na czym to polega. To co nazwałem enklawą europejską w Azji Mniejszej jest donioślejszą sprawą niż powierzchowna duma, polegająca na wybudowaniu jednej więcej uczelni. Można by udowadniać długą listą przykładów, w jak nieproporcjonalnie wielkim procencie przyczynili się Żydzi do wyniesienia samego pojęcia nauki — i to bezinteresownej nauki — na ten poziom, na którym znalazła się ona w XIX i XX wieku. W każdej niemal dziedzinie nauki obserwujemy tu rzemieślników, zagłębionych w swojej dziedzinie i tworzących szkoły historyków, filozofów czy matematyków, ze swymi charakterystycznymi kierunkami badania i metody naukowej, która przybiera potem nazwę szkoły francuskiej, niemieckiej czy polskiej. Zastanawiający jest tu udział żydowskich uczonych.

W Izraelu sprawa ta stała się dominantą kraju, przy czym pozbawiona jest ona cech utylitarnych. Mam wrażenie, że kraj ten nie oblicza znaną, ile jakich specjalistów potrzebuje w danej chwili. Zamiłowanie do nauki wydaje mi się większe niż statystyczno- praktyczne względy i bezpośrednie cele. Zapewne — starsi, na przykład prawnicy, nie władający hebrajskim językiem, nie są tu dziś potrzebni, gdy przybywają ze świata, a zwłaszcza z dobrych na tym świecie stanowisk. Jednakże nie spostrzegłem w Izraelu obawy przed nadprodukcją własnej inteligencji. Nie polega to - mam wrażenie - na ścisłych obliczeniach wewnętrznego zapotrzebowania na lekarzy, fizyków, inżynierów czy matematyków, Izrael leży w miejscu, skąd widać już olbrzymie afrykańskie przestrzenie, Kongiem, Ghaną czy Abisynią. Dookoła tego państwa rozciągają się olbrzymie terytoria arabskie — czemu nie? Dziś pokój nie jest zawarty, jutro może przyjść okres jakiejś formy pokojowej koegzystencji. A dalej leżą kraje — od Turcji, Iranu i Afganistanu poprzez Indie, Burmę i Wietnam i olbrzymie Chiny. W ciepłym Izraelu czuje się już ten świat, pełen zarówno bezludnych jeszcze, jak i przeludnionych obszarów, gorący świat gotowy przyjmować przez długie jeszcze lata wszystko, co wiedza współczesna wyprodukuje, a ekspansja naukowa wyrzuci na zewnątrz. W Izraelu można się łatwo nauczyć po arabsku, a wyprawa „na południe” przestaje być wyprawą do klimatu i kraju egzotycznego. Mam wrażenie, że ta pewna beztraska w produkowaniu uczonych i inteligencji jest częściowym wynikiem tego ogromnego jeszcze świata, który tam leży obok, a który wchłonąć może całe pokolenia inteligencji. Żydzi podróżowali zawsze. Zaludniali imperium rzymskie, historia ich nie ogranicza się do dziejów ich prześladowania. Dziś budują szkoły, jak gdyby „na wyrost”, działa tu z pewnością i położenie geograficzne, bo przecież nie obszar własnego terytorium.

Zwiedzam Instytut Sportowy w Wingate, szkołę rolniczą z folwarkiem koło Cezarei, Centralną Szkołę Rolniczą w górach Efraim. Młodzież od 10 do 17 i 18 lat uczy się tam i pracuje w polu, widzę ich przy tej pracy, na boiskach sportowych i w stołówce, gdzie jemy razem obiad. Ich czas jest podzielony na 5 godzin nauki i 4 godziny pracy w polu. Nie wiem, jaka jest dochodowość, samowystarczalność czy deficyt takich jednostek szkolnych, ale widać na każdym kroku staranie o samowystarczalność. Nastroj w tych szkołach, rozsypanych niewielkimi stosunkowo,

lekkimi budynkami po zalesianym i ogrodowym, podlewanym skrzętnie terenie, posiada już dla mnie jakieś wspólne cechy z kibucami. Są to autonomiczne jednostki, w których młodzież jest u siebie i „sama gospodaruje”. Tendencja do wydzielenia osobnych takich ośrodków zaznacza się od najniższych szkół po najwyższe uniwersytety i instytuty. Tu wszyscy się znają i żyją razem, zarówno personel jak młodzież. Jak to dalej wygląda i jakie są zarówno szczegóły jak i rezultaty takiego założenia — nie mogę ocenić. Jednakże w wielu krajach — od Ameryki po Chiny - rysuje się ta tendencja do stwarzania uczącej się młodzieży osobnych dla niej warunków, nieosiągalnych w ciasnych centrach miejskich. Mam wrażenie, że pakowanie naszych uniwersytetów i szkół zarodowych koniecznie do miast należałoby porównać z tą tendencją. I wyciągnąć z tego praktyczne wnioski.

Rozliczne fundacje, napływające s całego świata, ułatwiają temu młodemu państwu jego start naukowo-wychowawczy. Istnieje wielka ilość sal i audytoriów, na każdym budynku widnieją tablice ich fundatorów - z Nowego Jorku, Johannesburga, Australii czy Anglii. Nigdzie nie mógłbym użyć w Izraelu zniechęconego przeze mnie terminu „reprezentacyjność”. Nigdy bowiem nie mogłem zrozumieć, dlaczego dworzec, szpital, ulica czy hotel mają być „reprezentacyjne”, a nie — po prostu — lepsze, gorsze, tańsze czy droższe. W Izraelu luksusem są ogrody, których założenie i utrzymanie jest ogromnym wysiłkiem. Ale nawet ogrody zakładane są naokoło mieszkalnych domów studenckich, wiadomo bowiem, że służą one nie tylko do oglądania, ale i do oddychania, a szybko rosnące eukaliptusy dadzą po kilku latach pożądany cień, bez którego w letnich miesiącach — od czerwca do września — mózg może wyschnąć najzdolniejszemu nawet studentowi. Ta sama skromność cechuje wnętrza mieszkalne, celowe, pełne natrysków, werand czy innych podręcznych urządzeń, w których wszystko obliczone jest dla ochłody i wygody. Studenci opłacają niewysokie (jak mnie zapewniano) czesne, istnieje jednak wiele stypendiów i wiele zwolnień od tych opłat. Wola fundatorów stypendiów jest ściśle przestrzegana, podobnie jak wola tych, którzy fundują dany instytut czy jego część.

Trzy najwyższe uczelnie: Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie, Tochnion w Haifie i Instytut Weizmanna w Rehovot znajdują się w pełnej rozbudowie. Pierwszy uniwersytet zajmuje całą już dzielnicę Nowej Jerozolimy i za kilka lat znajdować się będzie w parku, w cieniu posadzonych tam drzew. Obok innych wydziałów, posiada wydział humanistyczny z rozbudowanym Instytutem Badań Żydowskich (Institut d'Etudes Juives), zwany też instytutem hebrajskim, obejmującym: Biblię, Talmud, Literaturę Hebrajską. Filozofię i Mistykę Żydowską, język hebrajski, helenistykę żydowską oraz język i literaturę jidisz. Filologia orientalna obejmuje cywilizacje Islamu, Bliski Wschód (dawny i współczesny), oraz język i literaturę arabską. Pozostałe działy nauk humanistycznych obejmują filozofię i religioznawstwo, historię i archeologię, a poza tym filologię klasyczną, egiptologię, romanistykę, anglistykę itd.

Powszechnie i popularnie nazwany Instytut Hebrajski przy uniwersytecie w Jerozolimie jest najpoważniejszym tego rodzaju ośrodkiem dzisiaj na świecie. Zatrzymałem się dłużej przy tym wydziale, wydaje mi się on bowiem czymś bardziej zastanawiającym od „normalnych”, matematycznych i fizycznych wydziałów Einsteina czy chemicznych Weizmanna.

Wybór języka i alfabetu hebrajskiego jako języka powszechnego i urzędowego był decyzją jedyną chyba w dziejach świata. Hebrajszczyzna, używana zawsze jako język liturgiczny i żywa w pewnych ośrodkach żydowskich, wyszła przecie z potocznego obiegu od wieków. Dzisiaj cały kraj — w każdym razie poniżej pewnej granicy wieku — mówi, pisze i czyta po hebrajsku. I tu więc, nad czysto utylitarnym momentem góruje coś, co nazwałbym głębokim nawiązaniem do prastarych, jednoczących ten naród elementów.

Jednym z pierwszych wrażeń cudzoziemca jest ten trudny graficznie alfabet, pisany w dodatku z prawej strony

ku lewej. Czy nie odgranicza on zbytnio tego nielicznego narodu od reszty świata?

Gdy myślałem o tym alfabecie, to znowu „złapałem się na tym”, że rezonuję jak typowy Europejczyk z punktu widzenia, że to my jesteśmy pępkiem świata. A tymczasem tutaj dzieje się coś, co wprawdzie jest tą enklawą europejską, ale znajduje się przecież w Azji. Alfabet hebrajski nie przeraża tu nikogo bardziej od arabskiego czy pisma Bliskiego czy Dalekiego Wschodu. Wschód, w którego, ramach i klimacie się żyje, z którego dziesiątkami tysięcy napływają współobywatele, rodacy z Jemenu, Indii, Afganistanu i państw arabskich. Dla wszystkich tych ludzi jest obojętne, czy będą się uczyć łacińskiego czy hebrajskiego alfabetu. Dziecko nauczy się każdego alfabetu, a w szkołach obowiązuje zawsze jeden przynajmniej język europejski. Co jest ważniejsze? Zniekształcić hebrajszczyznę, wcisnąć ją w niemożliwy dla niej alfabet łaciński i zniszczyć biblię, psalmy, całą przeszłość żydowską czy mieć niewygodę z turystą, który na bocznej drodze nie będzie mógł przeczytać szyldu czy nazwy ulicy w Beer Menucha lub Ein Yahav? W rezultacie tego jesteśmy świadkami ożywiania starożytnego języka, należącego już niemal do języków martwych, i to w jednym, niewielkim państwie. Cała ta, tak frapująco urodziwa młodzież, jaką widać na każdym kroku, mówi między sobą tylko po hebrajsku, a naród jest chyba najbardziej „poliglotyczny” ze wszystkich, jakie widziałem.

Napisałem sporo o Izraelu, a jeszcze ani słowa o muzyce. (...)

Więc najpierw: naokoło. Intrygujący jest zmysł artystyczny tego narodu. Chciałem pisać o ich malarstwie, architekturze, o małej stosunkowo ilości kiczu — tych kiczów, które przecie są dominantą w każdym kraju i które formują obraz krajów, jakie się zwiedza. Bo co wpada najpierw do oka? Arcydziela? Gdzie jest taki kraj, jeżeli ma pretensje do „cywilizacji współczesnej”? Chyba tylko, jeżeli go nie tknęła jeszcze ręka tej cywilizacji przemysłowej — ale takich krajów jest coraz mniej na świecie.

Muzyka izraelska. Co to jest? O kompozytorach, orkiestrach, może później. Chórów niestety nie słyszałem - (tematu pomimo to byłoby na kilka tekstów jeszcze). Tymczasem jednak poszedłem w Jerozolimie do maleńkiego pokoiku etnologicznego Instytutu Orientalistyki, w którym pani dr doc. Edith Gerson-Kiwi zbiera nagrane taśmy z folklorem „zawleczonym tu ze wszystkich zakątków świata”. Boże drogi — czemu ja tam nie mogłem zostać dłużej i przesłuchać te 4000 taśm, które ta kobieta nagrała! Czemu nie mogłem pójść w ślad — za tymi taśmami, trzymać się ich jak drogowoskazów po ziemi izraelskiej — i słuchać!

Byłem kiedyś z Szeligowskim w Paryżu, w takim instytucie, w którym były taśmy z całej ziemi. Słuchałem tam muzyki z Konga i z Wysp Polinezyjskich i Bóg wie jeszcze skąd. Były to nawet jeszcze płyty, bo nie było jeszcze wtedy taśm. (Byliśmy tam z Tadeuszem chyba jeszcze przed wojną trzydziestoletnią?). Ale tu, u pani Gerson, wszystko pochodziło z tego kraju, wszystko jest na miejscu i można się tu jeszcze tego wszystkiego nasłuchać „na żywo”.

Wierzę, że nasz „Śląsk” czy „Mazowsze” odniosłyby w Izraelu „dziki sukces”, ale gdy myślę co oni tam mają, to robi mi się słabo. A więc responsorialne, hebrajskie psalmy *Halleluja*, będące jakimś przejściem do *Alleluja* gregoriańskiego, Żydów z Jemenu, tych Jemenitów, którzy — jak to mogłem zaobserwować — są tam bardzo cenieni i na uczelniach są już jakby „oczkiem w głowie” profesorów. Obok tego hymny świąteczne, mocno arabizujące, i krótkie hymny Żydów babilońskich, prośby o deszcz. I znowu inne hebrajskie laudy, *Halleluja* responsorialne z chórami i solistą, z rytmami zupełnie niezależnymi od linii melodyjnych, z ćwierćtonowymi melizmatami i wysokościami interwałów, które mogą przyprawić europejskiego muzyka o bezsenność. Śpiew kantorów

synagogałnych z Afganistanu, którzy mieli jakieś związki z Nestorianami, przypomina jeszcze bardziej w swoich psalmach starożytny chorał gregoriański. Wreszcie muzyka Żydów indyjskich, czy msze armeńskie, śpiewane już nie wiem przez kogo, o specjalnej wibracji głosów, z powolnym tremolem, przypominającym *vox humana* organów. Zdumiony słuchałem potem krótkich wyjątków śpiewów starych chasydów, dawno osiadłych w Safed, mieście kabalistów. Przybyli tu oni jeszcze w XVIII wieku z Polski i siedzą teraz w górach Kanaan. Czemuż nie mogłem ich słyszeć? Trzeba by tu spędzić rok, jeździć, widzieć wszystkie święta i słuchać ich modlitw, tańców i wesela. Cała ta naniesiona liturgia i obrzędy zamierają powoli, trzeba się spieszyć — gdy to wszystko już będzie tylko muzealne, to będzie jak te egipskie i fenickie szkiełka za witryną. Teraz są one jeszcze używane, można je wziąć do ręki. Ale niebawem znajdzie się to w muzeum. Prymitywni Żydzi z Kurdystanu grają na czymś co brzmi trochę jak obój, tańce innych mają niezwykłą rytmikę tureckich bębnów, niesymetryczną, na którą nie ma zapisu nutowego — każdy zapis zdeformowałby to zupełnie. Perscy Żydzi z Ispahanu zagrali mi z taśmy na flecie z bębenkiem, sposobem, który podobno jest specjalnością orkiestr perskich z Szirazu. Kobiety jemenickie grają na cymbałach i śpiewają antyfony, a w pieśniach weselnych wpadają w perkusję z krzykami, jakich nigdy nie słyszałem.

A wreszcie usłyszałem arabskie sceny taneczne z wesela w Nazarecie i beduińskie solo fletowe z Negewu, brzmiące jak na szałamai. Nie można grać inaczej na pustyni. Widziałem tylko pustynię Gobi i Negev, aż po Morze Czerwone, okno na cały duży świat, który się wydaje, gdy się o nim myśli u nas, światem wymyślonym. Tak właśnie grają tam jeszcze członkowie starych szczepów koczowniczych, zanim nie otrzymają samogrającego kufierka z walcami Lehara. To jest muzyka, która tam jeszcze żyje, która nie jest sztuką odnalezioną, jak rękopisy biblijne znalezione w Qumra, nad Morzem Martwym — których kilka zwojów widziałem w bibliotece Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie.

Co byśmy robili, gdybyśmy w Polsce mieli taką różnorodność folkloru — i to na terenie jednego tylko województwa? Jak tu mówić wtedy o „muzyce narodowej”? Ażeby to zrozumieć, trzeba sobie uprzytomnić, że na 2 miliony mieszkańców tego państwa połowa przybyła z Europy i Ameryki, około 30% z Azji a około 20% z Afryki, przy nieco ponad dwustutysięcznej rzeszy mniejszości narodowej. Arabów, chrześcijan i Druzów, silnie zarabizowauej sekty mahometańskiej z Libanu. Jest to więc niezwykle w dziejach zderzenie różnych kultur i obyczajów. Chyba nigdzie tak jak w Izraelu nie można ich studiować na jednym miejscu. Bo przecie na tych 2 milionów mieszkańców, połowa ludności przybyła tu po roku 1948.

Jest więc Izrael krajem niedużym, ale piekielnie głębokim, jak wszystkie stare kraje — a głębia ta spotęgowana jest warstwami, które czasów biblijnych nałożyły się tu po dzień dzisiejszy. A dzień dzisiejszy się spieszy. Cała ta muzyka żyje jeszcze, ale przyszły do niej radio, orkiestry, chóry, kompozytorzy .koncerty, które w salach i w amfiteatrach na wolnym powietrzu gromadzą ogromny procent ludności tego narodu.

Sala koncertowa w Tel-Avivie, mieście, które ma około 400 000 ludności, pomieścić może ponad 3000 osób. Jest wyprzedana cztery razy w tygodniu, bo tyle razy gra tam w sezonie znakomita — można powiedzieć wspaniała — orkiestra symfoniczna. W Jerozolimie, która ma około 150 000 mieszkańców, kończy się budowę równie wielkiej sali koncertowej dla tamtejszej Filharmonii. Jak widzimy, Żydzi potrzebują muzyki jak wody, mają jednak więcej muzyki niż wody. Orkiestry jeżdżą po kraju, mnożą się, chórów jest dużo, kompozytorów też, i to bardzo zdolnych i ciekawych. W kibucu Ein Gev urządza się latem festiwale muzyczne a najznakomitsi artyści z całego świata przyjeżdżają chętnie produkować się w tym kranu, poczynając od Toscaniniego, który w 1936 roku otworzył pierwszy sezon koncertowy orkiestry w Tel-Avivie, założonej przez Bronisława Hubermana.

Czułem się tam znowu jak w domu, gdy poszedłem za kulisy. Czternastu członków tej orkiestry pochodzi z naszych orkiestr, przeważnie z dawnej orkiestry warszawskiej Fitelberga. W tym koncertmistrz, Józef Kamiński, który mi kazał pozdrowić najserdeczniej Grażynę Bacewiczównę, bracia Ginsburgowie, z których jeden jest pierwszym wiolonczelistą a drugi pierwszym perkusistą i wielu innych.

Muzyków do tej orkiestry dobierał Huberman z całego świata. Mozaika ta dała wspaniały rezultat. Orkiestra reaguje żywo na każdy znak dyrygenta — dyrygował, gdy tam byłem, znany nam z koncertu na „Warszawskiej Jesieni” Jean Martinon, wykonując pierwszy raz *Symfonię* Menahema Avidoma, jednego z najaktywniejszych kompozytorów izraelskich, autora m.in. opery narodowej *Aleksandra*, której libretto oparte jest na historii z czasów dynastii Hasmoneuszy i Króla Heroda.

Z muzyką tą zrozumiałem zaraz cały kompleks nawarstwień i poszukiwań „gotowej tradycji — której kompozytorzy izraelscy szukają przede wszystkim poprzez motywikę synagogalną, wciskaną w ramy muzyki europejskiej. Z bardzo pobieżnych, fragmentarycznych i. niekompletnych wrażeń, jakie miałem przy zapoznaniu się tylko z kilku dziełami tej dużej szkoły kompozytorskiej, mam wrażenie, że Avidom najszybciej i z największą może łatwością sięga do źródeł, które leżą „najbardziej na wierzchu”, jeżeli chodzi o tradycję muzyki żydowskiej. Niewątpliwie stworzył on już w sześciu symfoniach i w swej operze podstawy, które publiczność uzna tam zapewne za swoją tradycję. — Avidom toruje drogę do stworzenia repertuaru, który jest im tam potrzebny. Pochodzenie Avidoma — jak podaje Peter Gradenwitz w *Music and Musicians in Israel* — jest polskie, studiował w Paryżu i Egipcie, ale osiedlił się w Izraelu już w 1935 roku.

Starszy od niego Paul Ben-Haim wyszedł z akademii monachijskiej i osiedlił się w Izraelu w 1933 roku. Słyszałem tylko jego utwór o Dawidzie, *Miły Psalmista Izraela*, skomponowany z okazji trzecieścieczonej rocznicy założenia Jerozolimy. Utwór ten jest znakomicie napisany na orkiestrę, z dużą ilością recytatywów instrumentalnych, i pewną uroczystą, nieco Honnegerowską nutą w realizacji kompozytorskiego założenia. Ben-Haim pisze dużo, podobnie jak Avidom. Nie potrafię powiedzieć, czy są oni tymi, którzy przede wszystkim dostarczają repertuaru narodowego w swoim kraju, z pewnością jednak dążą do tego i potrafią to robić, mając wspaniały aparat wykonawczy.

Pierwodruk: *W Izraelu: „Przegląd Kulturalny”*, nr 1 (383), 1 I 1960, s. 6; nr 2 (384), 7 I 1960, s. 10; nr 3 (385), 14 I 1960, s. 7; *Muzyka w Izraelu: „Przegląd Kulturalny”*, nr 6 (388), 4 II 1960, s. 10-11. Republikacja za uprzejmą zgodą p. Zofii Mycielskiej-Golik.